

To się będę śmiał, gdy nie zdążą ze zniszczeniem świata przed jego końcem
/Stanisław Jerzy Lec/

Jezus pochylił się. Jeden ze służebnych aniołów włożył lśniąca klejnotami, wykutymi z gwiazdowego pyłu, koronę na jego głowę, po czym podał mu łuk. Inny anioł, zginając się w pas, wszedł do komnaty.

– Wierzchowiec gotowy, panie – oznajmił sztucznym, wyuczonym tonem, po czym obrócił się i wyszedł, zatraskując za sobą szczerozłote wrota.

Przed bramami pałacu czekał biały ogier w towarzystwie trzech innych koni, na których grzbietach usadowili się jeźdźcy. W siodle rdzawego miejsce zajmowała – okrakiem, po męsku – odziana w lśniąca zbroję kobieta, dzierżąca w dłoniach długą włócznię. W rękach mężczyzny na koniu czarnym tkwiła niewielka waga, której szale przechylały się rytmicznie to na jedną, to na drugą stronę. Czwartego konia, płowego, dosiadała niewiasta o twarzy pięknej, a oczach czarnych jak bezdenne otchłań. U łęku wisiała kosa.

Zwierzęta i ich właściciele otaczał ciasnym kręgiem tłum aniołów. Jeden z nich trzymał przed sobą księgę. Niecierpliwymi palcami gładził pieczęci, jakby przejęty swoją rolą nie mógł doczekać się ich otwarcia. Przestępował nerwowo z nogi na nogę, zapewne używając całej siły woli do powstrzymania się przed uczynieniem tego przedwcześnie.

Z głębi dziedzińca słychać było szcęk stali i krzyki dowódców. Były to jednak jedyne dźwięki, jakie towarzyszyły temu niezwykłemu zgromadzeniu. Muzyka, nieustannie rozbrzmiewająca w samym Niebiańskim Pałacu, jak i w całych Niebiosach, umilkła zupełnie. Zgromadzeni aniołowie nie rozmawiali ze sobą. Stali w całkowitym milczeniu. Czekali.

Olbrzymia, jednooka postać zbliżyła się do portalu. Odrzuciła kaptur, ukazując lśniąca tysinę. Na wysokim czole płonął znak. Po obu jej stronach pojawiły się nagle, jakby wyłoniły niezauważalnie z wnętrza ziemi, dwie potworne istoty.

– Gogu! – zagrzmiął jednooki.

– Oto jestem – oznajmił bełkotliwy głos bestii o cielsku ogromnego smoka, na którym osadzona była głowa kozła.

– Magogu!

– Oto jestem – zasyczał skrzydlaty wąż. Jego długi, rozdwojony jęzor zatoczył kilkakrotnie kręgi w powietrzu, niczym bicz.

– Tworzyć szyk! – ryknął donośnym głosem czarnoskrzydły anioł.

Lucyfer odwrócił się i omiół wzrokiem armię. Westchnął.

– Zwyciężyliśmy jeden raz i zostaliśmy wygnani! – krzyknął w stronę żołnierzy. – Ale to nie koniec! Im to nie wystarczy. Trzymali nas przy życiu dopóty, dopóki byliśmy im potrzebni. Teraz już nie jesteśmy. Teraz przyszedł czas, by stanąć do walki po raz drugi i tym razem wywalczyć nareszcie wolność, za którą ginęli nasi bracia. Wolność, za której pragnienie zostaliśmy ukarani!

Tłum zbrojnych ryknął entuzjastycznie. Tysiące kling i drzewców uderzyło w ubita ziemię.

Fenrir poruszył się niespokojnie. Loki nerwowo szarpnął więzy. Ogromny ogon Jormuganda uderzył potężnie o morskie dno. Pień drzewa Yggdrasil zatrzęsł się, zatrzeszczał. Garm nabrał powietrza w płuca, gotując się do złowrózobnego szczeknięcia.

Thor uniósł nad głowę trzymany oburącz Mjöllnir. U jego boku stanęła Sif,

spoglądając przed siebie oczyma błyszczącymi od łez. Usta Frigg, niosącej w ramionach martwe ciało Baldura wygięły się do płaczu. Wielka dłoń Odyna spoczęła na ramieniu żony.

– Nie płacz nad nim, kochana. Płacz lepiej nad nami. On wróci – my nie.

Tyr uniósł miecz, na którego głowni widniała runa Tiwaz.

– ... i wtedy, drodzy państwo, nastąpi uwolnienie energii próżni – oznajmił bezbarwnym tonem mężczyzna w wyświechtanym, brązowym garniturze, zakładając nogę na nogę, jednocześnie poluźniając krzywo związany krawat.

– Ale... co to oznacza w praktyce, panie profesorze? – zapytał nieco zbity z tropu prowadzący, z którego ust nie schodził jednak sztuczny uśmiech.

– Nasz Wszechświat posiada niezerową energię próżni. Jeżeli istnieje stan próżni o niższej energii, to Wszechświat jest w stanie próżni fałszywej i może dojść do tunelowania do niższego stanu – wyrzucił z siebie jednym tchem naukowiec. Machnął ręką od niechcenia. – Będzie się to wiązać ze zmianą niektórych stałych fizycznych, na przykład mas wielu cząstek. Atomy natomiast mogą stać się nietrwałe.

Mina redaktora, z każdym słowem gościa programu, rzedła coraz bardziej.

– Tak, oczywiście, profesorze. Chciałbym tylko prosić pana, żeby raczył powiedzieć naszym widzom, jakie to ma... praktyczne następstwa.

Ekspert spojrział na dziennikarza spod oka, nie bardzo rozumiejąc, co w jego wypowiedzi mogłoby być nie do końca jasne dla przeciętnego odbiorcy.

– Koniec świata – powiedział z pozoru spokojnie. Jego ton zdawał się jednak mówić: „To chyba oczywiste? Nieprawdaż?!”

– Czy w obecnych czasach pojawiają się już jakieś czynniki wskazujące na bliską możliwość zaistnienia tego zjawiska? – próbował dalej niestrudzony redaktor, poprzedzając pytanie ciężkim westchnieniem.

Profesor pokiwał głową z politowaniem.

– Panie redaktorze... Ja jestem człowiekiem nauki, nie prorokiem. Skoro o czymś mówię, to chyba jest jasne, że moja teza bazuje na faktach, prawda?

Anna wyłączyła telewizor. Ciężko westchnąwszy, ruszyła w stronę kuchni. Na korytarzu rozległ się odgłos ciężkich kroków. Ciało kobiety zadrżało odruchowo. Skuliła się pod ścianą, kiedy padł na nią cień stojącego w drzwiach mężczyzny.

– Człowiek przychodzi styczny, po całym dniu ciężkiej pracy, i nie może oczekiwać nawet ciepłego obiadu czekającego na stole. Musimy poważnie porozmawiać, kochanie. - W ostatnich słowach, każdą sylabę przeciągał, mocno akcentując.

W oczach Anny roziskrzył się jakiś dawno zapomniany ogień. Wyprostowała się, spoglądając prosto w oczy mężczyźnie, który dawno już przestał być dla niej mężem. W rękę kobiety błysnęło ostrze kuchennego tasaka.

– I tak idzie koniec świata – skwitowała, wycierając narzędzie brzegiem fartucha.

Bankier odłożył słuchawkę telefonu. Uśmiechnął się szeroko do własnych myśli. Wstał i wydobyl spod biurka walizkę.

– To gdzie jedziemy? – zapytał, ściskając wolną dłońią jędrny pośladek sekretarki.

– Czy jesteś pewny, że... – jęknęła kobieta.

– Przecież i tak niebawem koniec świata. - Mężczyzna zaśmiał się w głos, wsuwając dłoń pod jej krótką spódniczkę.

Paulina „Lorelay” Szymborska-Karcz – Zdążyć przed końcem świata
konkurs „Świat się kończy”, tekst pobrany ze strony www.wsdn.pl

– Gdzie idziesz, mamusi? – chlipnęła cicho jasnowłosa dziewczynka, przytulając płaczącego, mniejszego od siebie braciszka.

Kobieta nie odpowiedziała. Nie obróciła się nawet. Drzwi zamknęły się za nią z głośnym trzaskiem.

– Zawsze chciałam poczuć, jakby to było, gdybym was nie było – szepnęła sama do siebie, zbiegając po schodach. – Teraz, skoro i tak niebawem koniec świata...

– Tak, proszę pani. Dawca dla pani syna się znajdzie. Oczywiście, sama pani rozumie, koszta... No, skoro pieniądze nie grają roli... – Lekarz nacisnął czerwoną słuchawkę, wkładając telefon do kieszeni.

„Idiotka. Przecież i tak idzie koniec świata” – pokręcił głową, uśmiechając się do własnych myśli.

– Powiedz, że jestem genialny! – krzyczał, zrzucając jednym ruchem rękawiczki z cienkiej, przezroczystej gumy. – No powiedz wreszcie! – Rozerwał na sobie biały fartuch i w odruchu spontanicznej radości złapał za ramiona młodszego mężczyznę. Potrząsnął nim silnie. – Wreszcie! Udało mi się! Udało! Mój wirus... Nareszcie...

Doktor mówił coraz szybciej, mniej składnie, niezrozumiale. W jego oczach płonęło szaleństwo.

– Wypuścić ładunek – oznajmił sucho pułkownik.

Za odlatującym samolotem pozostała wąska smuga siwej mgły. Opadała coraz niżej i niżej, unosząc się nad uśpionym miastem.

– Spóźniliśmy się – stwierdził jeden z jeźdźców, poklepując łeb czarnego konia.

– Jak to...? – Lucyfer zastygł w pół ruchu, z ręką trzymającą miecz uniesioną w górę.

– Ano – kiwnął głową archanioł Michał, cofając broń krzyżującą się już niemal z orężem przeciwnika.

Czarnoskrzydły anioł spojrzał pytająco na dosiadającego białego konia Jezusa. Ten, zeskoczywszy z grzbietu zwierzęcia, wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że nie mamy już na nic wpływu. Nawet na koniec świata.

– On ma rację. – Thor opuścił młot. – Spóźniliśmy się i szlag trafił wszystkie nasze starania.

– Panowie i panie, wobec powyższego proponuję rozejm – stwierdził radośnie Loki, zrzucając łańcuchy.

– W takim razie, najpierw wskreśmy Baldura, a potem napijmy się. Zapraszam wszystkich na ucztę do Walhalli! – krzyknął donośnie Odyn.

– A miało być tak pięknie... – mruknął jednooki Antychryst, głaszcząc uspokajająco Goga i Magoga.

– Widziałeś kiedyś walkirie? – szepnęła mu do ucha Śmierć na siwym rumaku. – Nie? To nie marudź.

– Tak, napijmy się – przytaknął Jezus. – Wygląda na to, że nie jesteśmy tu już potrzebni. Ludzie świetnie poradzą sobie sami.

– A potem? – wyrwało się nieopatrznie aniołowi z księgą.

– A potem... – westchnęła ciężko Frigg. – *Götterdämmerung*.